

Jerzy Sokołowski

Zielony mundur osadnika

Szło lato 1945 roku. Ziemia nad Odrą i Nysą leczyła wojenne rany. Zieleń zakryła wyorane gąsienicami czołgów kołyny, wypełzała na grzbie-ty okopów, tranzei i umocnień. W opustoszałych sadach drzewa śliw i jabłoni uginaty się pod ciężarem owoców. W setkach pustych wsi i osad gospodarzył tylko wiatr. Ziemia czekała na ludzi.

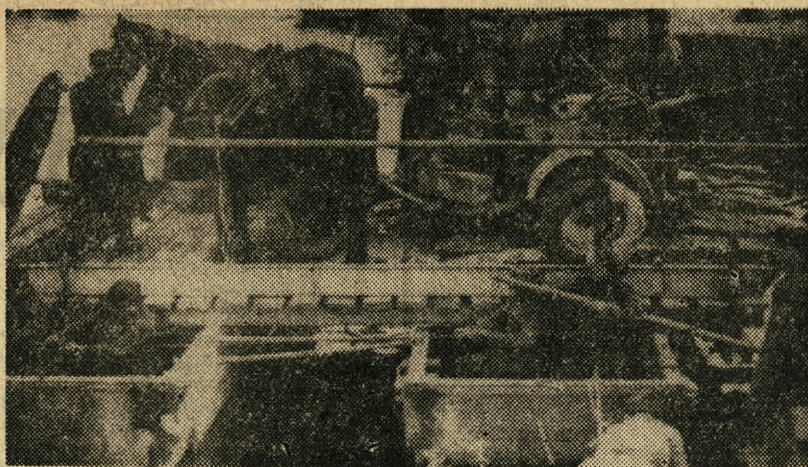
Drogami biegnącymi z zachodu wracali do kraju pułki i bataliony 1 i 2 Armii Wojska Polskiego. Wracali do kraju okryte chwałą dywizje, których żołnierze szturmowali Berlin, wyzwala-ali ziemie bratniej Czechosłowacji, za-tykali sztandary wolności nad Ła-bą.

Szli przez ziemię, o której powrót do macierzy tak mężnie się bili. Bi-wakowali we wsiach i miasteczkach, o które jeszcze kilka miesięcy wcze-śniej toczyli zacięte boje, gdzie świe-że jeszcze były mogiły tych co zosta-li tu na zawsze. W sadach zrywali dorodne jabłka, na polach kruszyli kłosy ważąc w dłoniach ciężar ziar-na, nie przypuszczając, że ta właśnie ziemia czeka na nich, jako na swo-ich gospodarzy.

Zaczeli saperzy. Cofający się hit-le rowcy gesto naszpikowali ten kraj minami, pociskami artyleryjskimi, niewypałam bomb. W ziemi i bu-dynkach drzemały ukryte przemyś-lne setki śmiercionośnych pułapek. Wiele ich tu było. W niespełna dwa lata saperzy 1 i 2 Armii Wojska Pol-skiego rozbili tu, nad Odrą i Ny-są ponad 20 tysięcy pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych, znisz-czyli ponad 6 milionów min.

Ogółem do końca 1947 roku oczysz-czono na Ziemiach Zachodnich i Północnych ponad 3 miliony hekta-row ziemi, ponad 100 tysięcy kilo-metrów dróg kołowych i kolejowy-ch. 15 tysięcy osiedli, ok. 2,5 ty-siąca mostów. Choć wojna już się skończyła dla saperskiej braci wciąż jeszcze był tu front walki. Przy roz-minowaniu Ziemi Zachodnich i Pół-nocnych zginęło blisko 300 sape-rów a ponad 450 odniosło rany.

W oczyszczaniu prastarych pias-towskich ziem obok naszych sape-rów pracowali również żołnierze ra-dzieccy. Im to m.in. zawdzięczamy oczyszczenie z min portów w Szcze-cinie, Gdańsku i Gdyni, tamtejszych stoczni i zakładów przemysłowych w rejonach nadbrzeżnych.



Szerokim frontem wkroczyła technika do wojsk inżynieryjno-saperskich. Dysponują one dziś zmechanizowanym, a nawet zautomatyzowanym sprzętem. Jeszcze niedawno przy najlepszym wyszkoleniu i bezbłędnej organizacji budowa pontonowego mostu o długości kilkudziesięciu metrów, trwała go-dziny. Dziś saperzy przygotowują przeprawę w ciągu kilkunastu minut.



Na zdjęciu: samobieżny, zautomatyzowany prom gąsienicowy w ciągu rekordowo krótkiego czasu jest przygotowany do transportowania czołgów przez przeszkodę wodną.

Był jednak dopiero początek za-dań, jakie jednostkom 1 i 2 Armii WP wyznaczyło Naczelne Dowództwo.

Już 31 marca 1945 roku Naczelny Dowódca Wojska Polskiego specjal-nym rozkazem powołał dywizję rolni-czo-gospodarczą, w której skład wchodził w pierwszym rzędzie żoł-nierze - rolnicy. 6 pułków tej dy-wizji przyjęło 255 poniemieckich majątków obszarowych o powierzch-ni ponad 110 tysięcy hektarów. Wojsko przyjęło też liczne obiekty przemysłowo - rolnicze, jak tartaki, młyny gorzelnie, cegielnie, przetwór-nie konserw itp.

Dla zniszczonego okupacją kraju sprawa chleba miała decydujące zna-czenie. A na Ziemiach Zachodnich i Północnych dojrzewały tysiące hekta-rów zbóż. Frontowe jednostki WP otrzymały nowe bojowe zadanie: za-bezpieczyć zbiór chleba. Na rozległe pola nad Odrą i Nysą wyszły znów kompanie i bataliony. Sami tylko żoł-nierze 2 Armii WP zebrali w 1945 ro-ku zboże z ok. 80 tysięcy hektarów. Podobnym osiągnięciem poszczycić się mogli żołnierze 1 Armii WP. Jed-nocześnie wojsko przystąpiło do sianokosów orki i siewów. W pierw-szych dwóch latach po wojnie żoł-nierze obsiali na zachodzie kraju po nad 257 tysięcy hektarów ziemi.

Jednym z najważniejszych zadań było osiedlenie na tych ziemiach ich prawowitych gospodarzy. Zgodnie z planem należało tu rozlokować w ro-ku 1945 ponad 3,5 miliona Pola-ków Nasi „przyjaciela” na zachodzie uznali to zadanie za niewykonalne. Gazety amerykańskie i brytyjskie pełne były nagłówków w rodzaju: „Nierealne mrzonki Polaków” „Głodne ziemie”, „Utopijne plany polskich komunistów”, itp. itd.

Wtedy to właśnie 8 czerwca 1945 roku ukazał się specjalny rozkaz

Naczelnego Dowództwa WP, który zobowiązywał wszystkich dowód-ców jednostek do przeprowadzenia specjalnej pracy w tym zakresie. Powołano głównego inspektora osad-nictwa wojskowego. Został nim do-wódca 2 Armii WP, gen. broni Ka-rol Świerzeński. Umożliwiono żoł-nierzom i oficerom osiedlanie się w gospodarstwach rolnych, podejmowa-nie pracy w fabrykach i warszta-tach rzemieślniczych.

Wytypowano powiaty, m.in. Gry-fin, Gubin, Luban, Kamień, Zgorze-lec, gdzie mieli się osiedlać ci żoł-nierze, którzy wyrazili chęć obje-ctwa gospodarstw rolnych. Jako po-moc osadnikom jednostki wojskowe przydzielały im konie, sprzęt i na-rzędzia, paszę dla bydła, zboże na zasiew, itp.

— Zdobyliście tę ziemię karabi-nem, zdobywajcie ją teraz plugiem — mówili żołnierzom oficerowie po-lityczni.

Pustoszeć zaczęły koszary. Przez bramy ciągnęły całe kolumny żołnie-rzy. Jechali niekiedy całym drużyna-mi i plutonami z dowódcą na czele. Potem na wsi porucznik czy chorąży zostawał wójtom, sierżan-tom i plutonowym — spytanym. Jak nie-gdyś w boju dzielili się bronią i amu-nicją, tak teraz plugiem i chlebem. Przez wiele jeszcze dni i miesięcy zachowali żołnierską dyscyplinę, na wykł zbiorowego życia wojskowego. Statystyka lat powojennych zanoto-wała, że do 1 grudnia 1945 roku osiedliło się na Ziemiach Zachod-nich 200.400 żołnierzy z rodzinami.

Mijają 24 lata od chwili, gdy na Oczyszczonych Ziemiach nad Odrą, Nysą i Bałtykiem żołnierz polski roz-począł dzieło odbudowy. Z tej okazji warto chyba przypomnieć, że pierw-szym ubiorem polskiego chłopca na tych ziemiach był zielony mundur osadnika!

Franciszek Kirlo - Nowaczyk

Czy tylko „godziny wychowawcze”?

Dyskusja przed V Zjazdem PZPR

Problemy wychowania sta-ły się w ostatnim czasie niejako hasłem dnia. Wszystkie prowadzone w tej sprawie dyskusje wskazują, że obok innych ważnych problemów, wychowanie zajmuje je-dną z czołowych miejsc. Że nie za-myka się go w kręgu spraw będą-cych wyłączną domeną szkoły. Mówi-ą o tym wyraźnie także tezy na V Zjazd partii.

Rozpoczął się nowy rok szkolny, a w województwie poznańskim — drugi rok realizacji wytycznych zawartych w „Programie unowocze-snienia pracy szkół w Wielkopolsce” opracowany przez Radę Postępu Pe-dagogicznego w Poznaniu.

Program ten w dziedzinie pogłę-biania pracy ideowo-wychowawczej zakładał, że wychowawcze aspekty powinny znaleźć swoje odbicie w treści i organizacji całego procesu nauczania, dostrzegając bogate walory wychowawcze w przekształceniu klas w zwarte zespoły uczniowskie, w wychowawczą rolę zespołu na-uczycielskiego itp. Doszukał się bo-gatych treści wychowawczych w działalności organizacji młodzieżo-wych, w szacunku do pracy fizycz-nej na rzecz własnego środowiska, w uroczystościach szkolnych, a zwłaszcza w święcie patrona szkoły i w postępowych tradycjach Wielko-polski.

W jakim stopniu założenia pro-gramu zostały zrealizowane nie nam nie wiadomo, bo nie dysponujemy w tym względzie żadnym materia-łem sprawozdawczym. Na pewno realizacja ich nie należała do za-dań, które łatwo przeprowadzić i wykonać. Na przeszkodzie stanęły różnorodne jeszcze trudności — obiek-tywne i subiektywne. I wydaje mi się, że wiele osiągnięć stało się ta-jemnicą władz szkolnych — spoce-ło w aktach niejednego wydziału oświaty i kultury... A szkoda!

Wychowanie młodego człowieka jest procesem długotrwałym i trud-nym. W szkolnym nauczaniu stano-wi (powinno!) jego integralną część. Mówiąc prościej, wychowanie szkol-ne zaczyna się od chwili przestą-pienia przez siedmiolatkę progu szkolnego. W przedszkolach zaczy-na się ono znacznie wcześniej. Nie-stety, niejako „oficjalny” placet znalazło wychowanie w szkole dop-iero w klasach od V do VIII, kie-dy to w rozkładzie zajęć lekcyjnych pojawiły się tzw. „godziny wychowawcze”. Tezy przedzjazdowe prze-widują wprowadzenie godzin wy-chowawczych także w szkołach śred-nich i zawodowych po 1 w tygodniu. Nie ma potrzeby udowadniania ich konieczności również w tych szko-łach. Kto wie, czy to opóźnienie nie zaważyło w znacznej mierze na wychowaniu młodzieży.

Sama nazwa „godziny wychowaw-cze” wydaje się na pozór zrozumia-łą, nie budzącą wątpliwości, zwa-żasz

cza dla laika nie mającego nic lub mało wspólnego ze szkołą. Nasuwa ona natomiast nauczycielom — wy-chowawcom klas — niemałe kłopoty z tzw. realizacją tematyki wy-chowawczej. Władze szkolne w ma-łym stopniu lub wcale nie pokusiły się o dokładniejsze sprecyzowanie tej tematyki. Każda więc szkoła re-alizuje swój własny program według potrzeb i możliwości.

Godziny wychowawcze zdają się sugerować pewien rozdział pomie-dzy wychowaniem w szkole w ogó-le, a tematyką, jaka powinna się znaleźć na godzinach wychowaw-czych. Bo dlaczego nie ma ich w klasach niższych szkoły podstawo-wej?

Jedno jest pewne: ograniczenie problematyki wychowawczej tylko do godzin wychowawczych w kla-sach wyższych, nawet mimo ich specyficznych treści, nie może dać re-komni, że szkoła swoje zadanie w tym względzie spełni w całej ich rozciągłości. I chyba nie ma takiej szkoły, która by w ten sposób te zadania realizowała.

Wychowanie to — jak się już po-wiedziało — integralna część nauczania. Stosownie więc zakłada Pro-gram Rady Postępu Pedagogicznego że problemy wychowawcze należy wiązać z nowymi metodami nauczania przy pełnym wykorzystaniu warto-ści ideowo-poznawczych lekcji. A to już zależy od samego nauczyciela — wychowawcy, jego poczucia odpo-wiedzialności (nie tylko za wyniki nauczania) i właściwej organizacji samego procesu nauczania, tj. od dobrze przygotowanej lekcji.

Do czego w końcu zmierzamy? Nie negując roli i znaczenia godzin wy-chowawczych, konieczne jest jednak że traktowanie zadań wychowaw-czych w szkole jako całokształtu tego procesu od klasy I do VIII, bez odwoływania się do specyfiki tema-tycznej godzin wychowawczych w klasach wyższych.

Chodzi przecież o to, aby nasza młodzież opuszczała szkołę podsta-wową przygotowana nie tylko do kontynuowania dalszej nauki, ale by była — jak się to mówi potocznie — dobrze wychowana. Aby w miarę upływu lat szkolnych poznała i sto-sowała w życiu wojpone w nią za-sady właściwego współżycia z inny-mi ludźmi, aby nie tylko na lekcjach wychowania obywatelskiego w kla-sach VII i VIII wyrastała na do-brych, uczciwych patriotów, w szacunku do ludowej ojczyzny i ludzi pracy na całym świecie.

Te właśnie aspekty wychowawcze stoją przed każdą szkołą w Polsce w nowym roku szkolnym. W ich re-alizacji szkoła musi znaleźć pomoc-ników i sojuszników w domu dziec-ka, w całym społeczeństwie, a prze-de wszystkim w konkretnej pomocy władz szkolnych.

Ciekawi ludzie ciekawe sprawy



Doc. dr Stefan Kozarski
Fot. — K. Przychodźki

7 września wróciła do Polski eks-pedycja Polskiego Towarzystwa Geograficznego i Polskiej Aka-demii Nauk, która przez 3 mie-siące przebywała wśród lodow-ców Islandii. W wyprawie uczestniczył — jako jedyny polski naukowiec — docent dr Ste-fan Kozarski, kierownik Zakładu Geo-morfologii przy Instytucie Geograficz-nym Uniwersytetu im. A. Mickiewicza.

— Jaki był cel wyprawy?

— Nasze badania koncentrowały się na problematyce geomorfologi-

— Gdzie są większe lodowce niż w Islandii?

— Poza rejonami, gdzie czasza lo-dowa pokrywa cały kontynent, jak na Grenlandii, nie ma nigdzie więk-szych lodowców tego typu. Spiczber-gen ma bowiem lodowce górskie, a w Islandii występują lodowce na płaskowyżu, ich języki zaś wcho-dzą w obszary przypominające na-sze, polskie niziny pod względem urzeźbienia.

— Co daje zapewne możliwości ja-kichś porównań?

Na lodowcach Islandii

cznej, a geomorfologia to jak wiado-mo, nauka zajmująca się badaniem form powierzchni ziemi i kształtują-cymi je procesami. Interesowała nas najwięcej problematyka rzeźby lo-dowcowej przedpola dwóch języków lodowcowych znajdujących się na południowym skraju wielkiej czaszy lodowej.

— Jak wielkiej?

— No, mającej około 8400 km kwa-dratowych, czyli obszar małego wo-jewództwa polskiego. Ale czoło tego lodowca stale się cofa czyli kurczy, co jest zresztą zjawiskiem charak-terystycznym dla większości tere-nów zlodowaconych na półkuli pół-nocnej.

— Właśnie, poza bowiem celem poznawczym, jakim było zbadanie przedpola lodowca Sidujökull, nigdy dotąd nie badanego, drugim celem wyprawy były porównania. Szło nam o to, by poznać procesy kształtowa-nia się form i wyniki obserwacji za-stosować do badań procesów glacial-nych Polski północnej, gdzie takie procesy przebiegały 15—20 tysięcy lat temu.

— Ilu was było, w jakich pracowaliście warunkach?

— Było nas dziewięciu, ale tuż po przybyciu podzieliliśmy się na dwie ekipy siedmio i dwuosobową. We-spół z kolegą tworzyłem tę drugą ekipę i przez ponad dwa miesiące

nie miałem kontaktu z resztą ekspe-dycji. Warunki były trudne zwa-żywszy szczególnie klimat tej wyspy i teren będący całkowitą pustkowiem, bezdrożem. Opad roczny w tym rejonie wynosi powyżej 4 tys. milimetrów rocznie, a więc tyle co w strefie równikowej. Pracowaliśmy na wysokości 600 m, co oznaczało tam, że pułap chmur był z reguły pod nami, my zaś poruszaliśmy się w wilgotnych, gęstych oparach. Choć wszędzie wokół było pełno wody, odczuwaliśmy dotkliwy... brak wody,

wszystkie bowiem strumienie miały taką ilość zawiesiny, że woda z nich nie mogła być użyta do picia. Piłną wodę zdobywaliśmy w efemerycznych jeziorkach powstałych z topnienia śniegu (ale to tylko do końca lipca), bądź z odcieków ramion błądzących rzek, rzadko z gruntowych źródełek. Przeważnie była to woda bez sma-ku, wymagająca bezwzględnie goto-wania. A nosiło się ją często po pa-rę kilometrów.

Kolejną trudnością był nadmiar wody. Wiele rzek o bystrym nurcie, które trzeba było pokonywać w spe-cjalnym obuwiu — butach sięgają-cych pachwiny, ciężkich i utrudnia-jących zgięcie nogi w kolanie. A iść

w nich trzeba było nieraz daleko do 20 km. Teren cały składał się prze-ważnie z żużlowatych spieków wul-kanicznych, bardzo kruchych i nie-bezpiecznych. Bo to przecież kraj dwóch skrajnych żywiołów: wulkan-ów i największego w Europie lo-dowca, a nadto wyjątkowej masy wód.

— Jak dawaliście sobie radę we dwóch? Jak dostarczyliście sprzęt, żywność itd.?

— Mielśmy samochód, terenowy gazik otrzymany od Wojska Polskie-go (a trzeba wiedzieć, że cały wielki sprzęt zawiozły nam okręty naszej marynarki wojenne), ale tym samo-chodem, który sam prowadziłem po terenie zupełnie dzikim, bagnistym bądź górzystym, nie mogliśmy do-rzeć dalej niż na 6 km przed lodo-wieciem. Dalej trzeba było iść pieszo. Koło samochodu założyliśmy bazę i główny magazyn żywnościowy, 250 m wyżej, a 500 m przed czołem lo-dowca założyliśmy podbazę z dwoma namiotami — magazynem i „sy-pialnią”.

— Co jedliście?

— Oczywiście tylko konserwy. Mo-żna z nich było zrobić trzy rodzaje obiadów, mocno więc nam się z po-czątku przejadły, schudliśmy potęż-nie, później jednak wróciliśmy do wagi. Organizmy przyzwyczaiły się, kondycja rosła z dnia na dzień. Wy-

Dokończenie na str. 2

Czego potrzebuje turysta? Mieć czym jechać, gdzie jeść i gdzie spać. Owe żelazne reguły rozwoju turystyki Bułgarii respektują w pełni. Efekty tego są widoczne. Ludzie wala na czarnomorskie wybrzeże autami, pociągami i samolotami, chwyląc sobie połączenia kolejowe, szosy, lokalną łączność autobusową i lotnisko w Warnie; nie było przypadku, by ktoś nie znalazł miejsca w hotelu lub w prywatnie wynajmowanych pokojach; liczne restauracje zapraszają do zawsze wolnych stolików. Nic przeto dziwnego, że wprost proporcjonalnie do liczby zadowolonych z uroków czarnomorskich plaż — dynamicznie wzrasta napływ turystów: w tym roku Bułgaria przyjmie ich dwa miliony.

To jeszcze bardzo mało w porównaniu z turystyczną potęgą, jaką są Włochy. To bardzo dużo w porównaniu z Polską. Zwróćmy się do Bułgarii na dobrą sprawę — „odkryta” przez żadnych wrażeń globtrotterów oraz zwykłych śmiertelników, spragnionych słońca i ciepłej wody, nie dawniej niż 6—7 lat temu. Ale też przystąpiono tutaj, niemal od rumuńskiej granicy po daleko na południu położony Sozopol — do energicznego wcielenia w czyn planu zagospodarowania wybrzeża.

Plonem tego ambitnego zamierzenia są zbudowane w ciągu ostatnich dwunastu lat, a przecież już znane w Europie — Złote Piaski; tworzone na niedawnym pustkowiu opodal Neseberu — nowe czasowisko Słoneczny Brzeg; setka nowoczesnych, dużych hoteli, gęsta sieć wielkich restauracji; wszechstronne wyposażenie miejscowości wypoczynkowych we wszystko, co służy rozrywce — od rowerów wodnych po nocne lokale; organizowanie wciąż nowych campingów, rozwój sieci sezonowych pawilonów, oferujących potrzebne czasowiczom drobiazgi; dbałość o estetykę otoczenia: planowa zabudowa, dobre drogi, pielęgnowana zielen i kwiaty.

Wszystko to musiało pochłonąć nie małe sumy. Potrzeba też do obsługi tak zorganizowanego ruchu turystycznego — tysięcy ludzi i licznych, sprawnie działających przedsiębiorstw zaopatrzeniowych. Wydają się one w Bułgarii działać niemal bez zarzutu. Nic tedy dziwnego, że miano „bułgarskiej Rivieri”, przydane przez turystów Złotym Piaszkom i Drużbie — jest coraz bliższe rzeczywistości.

Budzi respekt i uznanie inicjatywa, tempo i konsekwencja działania bułgarskich gospodarzy. Kurs na rozwój bazy turystycznej daje widoczne efekty. Kto był w Drużbie lub Złotych Piaszkach przed kilku laty — zastanie je teraz bardzo odmiennie na korzyść, rozbudowane i urodziwsze. Nie do poznania zmieniło się najstarsze uzdrowisko Bułgarii nad Morzem Czarnym — Druż-

ba. Zwane dawniej Letoviszte Varna (letnisko Warna), powstałe sześćdziesiąt lat temu wokół osiemnastowiecznego klasztoru św. Konstantyna, zaprasza dzisiaj turystów do licznych — starych i nowych — hoteli, do rozległego parku nadmorskiego i na plaże położone u stóp urwistego brzegu. Nad koronami drzew i sylwetkami domów czasowych dominuje okazały, czternastopiętrowy Międzynarodowy Dom Uczzonego imienia Fryderyka Joliot-Curie.

Do Drużby wieszcie z Warny, odana w tym sezonie do użytku, dwu jezdniowa autostrada z bezkolizyjnymi skrzyżowaniami i podziemnymi przejściami. Następny, również dzie-

stołkach, gdzie żeńską obsługę przybrano w coś na kształt zakonnego stroju. Złote Piaski oferują „Stary Młyn” — gospodę urządzoną rzeczwiście w obrębie dawnego zakładu dostawy maki, z wszystkimi realiami w postaci koła wodnego, młynskich kamieni itp. „Mehana Koszara”, to restauracja imitująca (ale jak!) owczarnię; „Cygański Tabor” proponuje nam zamiast tradycyjnych stolików — miejsca w ustawionych półkolistych wozach. Albo „Kolibite”, indiańska wioska: szałas, to temy, stołki z pni drzewa; nic to, że kelnerki przebrano nie wiedzieć czemu za Czerwone Kapturki — pu bliku i tak wali! I jeszcze „Kukeri”, lokal o architekturze wieku atomowego, skąd rozciąga się wspaniały widok na Złote Piaski, Czajkę i Drużbę — aż hen, ku Warnie.

Nie, moi drodzy, to nie był knajpiany rajd. W tych restauracjach — choćby ze względu na ceny — nie widzi się wielu amatorów alkoholu. Te lokale się o d w i e d z a. Jesie w nich lody, pije orznięcie, kawę, czy nieco wina — ciesząc oko, dzięki pomysłowości gospodarzy, niecodziennym kształtem otoczenia.

Dobrze człowiek czuje się nad bułgarskim morzem. I swojsko, choć sosnowy las zastępują nam tutaj zielone wzgórza, pokryte krzewami i winoroślami. Polaków tego lata było tu mnóstwo, jak chyba nigdy dotychczas; wiele widziało się „Warszaw”, „Nys”, „Jelczy”. Bywała i „Trybuna Ludu” wioskach, w barach — żywieckie piwo, a w sklepach — nasz pocziwy „Rosół z wermiszlem”...

Czarne Morze jest latem absolutnie turkusowe. Złote Piaski, jeśli na wet nie mają plaż tej barwy — podbijają swymi urokami turystów. Błękitne niebo nad bułgarskim wybrzeżem każe pamiętać o sobie długo.

Przeglądamy Prasę

NOTATNIK

Taki tytuł nosi kolejny felieton „Z mojego obserwatorium” opublikowany na łamach „Życia Literackiego”, gdzie autor (W. M.) pisze m. in.:

„Wczytujemy się i wsłuchujemy we wszystko, co dotyczy Czechosłowacji. Niewątpliwie aktualna sytuacja można nazwać normalizacją w stosunku do tego, co buchało przed trzema i dwoma tygodniami (...). Dla każdej sytuacji istnieje punkt, przy którym eksploduje. Mamy nadzieję, że znaleźliśmy się już poza tym punktem. Ale fermentująca kacha czechosłowacka jest jeszcze napelioną substancjami niespokojnymi. Wcale nie słabe grupy rewizjonistycznych ekstremistów (...). Nie pogodzą się z tym, że skazuje ich się na bezrobocie (...). Kadzja czechosłowacka potrzebują (...). ościenni ideologowie rewizjonizmu. Przy sposobności dostaje się także Polakom. To tak od marca...”

Powyższy zapisek figuruje pod datą 5 września. „Notatnik” jednak zawiera zapiski także na inne tematy. Oto, co czytamy 11 września:

„Dziś szczekaczka mądreka doniosła o szczeniaku w Polsce przeciw chorobie Heinego-Medina, i czyni alarm z tego powodu, że jakobyśmy nie zdołali zaszcześcić 2 milionów dzieci. A przecież te dzieci była poza miejscem zamieszkania i będą w najbliższych dniach zaszczecone. Ten człowiek, który mówi o szczekaczce mądrekiej, zauważył: oni tam nie wiedzą o tym, że gdzieś jak gdzieś, ale w walce o ochronę zdrowia zbliżamy się do ideału równości socjalistycznej. Oni mówią o rzekomych zaniedbaniach na tym odcinku, przypominając widmo czasów sanacyjnych. Ta uwaga — pisze W. M. — zabrzmiała jak muzyka uczuć równobrzmiąca z muzyką idei”.

TEATR MILIONÓW

Chodzi o teatr telewizyjny. Pisze o nim Stanisław Adamczyk na łamach „Tygodnika Kulturalnego”. Autor donosi w swym artykule o założeniu ogólnopolskiego Klubu Miłośników Teatru TV przy Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, „Tygodniku Kulturalnym” i Telewizji Polskiej. W tym samym numerze znajduje się także karta zgłoszenia do Klubu Miłośników Teatru Telewizji. Inicjatywa piękna i godna po-

Kazimierz Nowowiejski

Nieznany Strauss

Do koncipowania operetek przy stąpił Jan Strauss dopiero w drugiej połowie swego życia. Przedtem pisywał lubiane przez wszystkich tańce na orkiestrę, najchętniej w rytmie walca, który stał się symbolem Wiednia — właśnie dzięki kompozytorowi. Podobno Jakob Offenbach (bożyszcze Paryża w czasach Drugiego Cesarstwa) skłonił autora „Nad modrą Dunajem” do spróbowania szczęścia w rodzaju operetkowym. I tak powstanie po kolei 16 kompozycji scenicznych z „Zemstą Nietoperza” i „Baronem cygańskim” na czele. Te dwa opusy biał wszelkie rekordy powodzenia. Jeszcze od czasu do czasu jakiś teatr przypomniał sobie „Noc w Wenecji” (znana inscenizacja berlińska Felsensteina). Poza tym ci- sza... Aż tu nagle dyrekcja Operetki Poznańskiej wyszczerła z lamusa i zdecydowała oczyścić z kurzu nieznany u nas straussowski „Wesołą wojnę”.

Trudno klękać na kolana przed podkolaną muzą, której zadaniem nie tyle wzruszać słuchacza, ile za wszelką cenę bawić. Tedy reżyser A. Wiza bez żenady uwspółcześnił przedpotopowe libretto, wprowadzając dziańskiego Umberta w zielonej koszulce z MHD — do krajiny operetkowej baśni. Całą ową błahą historię potraktowano z przyzwyczajeniem oka, jako pretekst do filuternych piosenek, czułych duetów, zwanych ansambłów i gromkich chórów. „Wesołą wojnę” można z dużą dozą słuszności nazwać „małą operą”. „Nietoperz” i „Baron” na pewno przewyższają te sztuczkie swym natchnieniem melodycznym. A jednak w każdym takcie muzyki Jana Straussa znać „lwi pazurek” majstra. O wiele gorzej z tekstami. Ale gdy tylko tempo akcji „wojennej” słabnie i widz miałby ochotę słodko ziewnąć, przychodzi w sukurs czujny dyr. S. Renz, dając niezawodny zastrzyk młodości.

A więc liczne wkładki choreograficzne fikających girłasków skutecznie urozmaicają tę staroświecczną. Tym bardziej, że interludia utrzymane są pieczołowicie w „klimacie” epoki. W lalkie ożywa na greckiej wazie posąg

golej nimfy i pląsa zwiennie wraz z pełnym gracji Amorem (D. Linke i K. Miłczyński). Rokokową suitę baletową tańczą dystygowane figuryki z saskiej porcelany, w kuszych fraczkach i perukach. To znowu na odmianę R. Folbrycht, zwinna niby wąż, fascynuje w orientalnym „tańcu brzucha”. W całkowitej zgodzie ze stylem pozostają „Odgłosy wiosny”, pomyslane jako „walc polawiaczy perel”. Choreograf przedstawienia T. Kujawa zdobyła się na szereg udanych pomysłów, które podczas premiery oklaskiwano przy otwartej kurtynie. Zwróćmy uwagę na bogate stroje, nie „banalne w formie i kolorze. Scenograf S. Janasik popisał się tutaj swoim kunsztem i doświadczeniem. Dodajmy, że „Wesoła wojna” jest jubileuszową, z kolei już 70 pracą teatralną artysty.

Nareszcie Operetka wychowała sobie pierwszego tenora w osobie P. Trelli, który prezentuje się wcale zgrabnie, a przede wszystkim śpiewa głosem miłym i przyjemnym (oby nie zaniedbał go szkolić w dalszym ciągu). Soliście partnerowała swobodnie wokalnie i aktorsko J. Guttnerówna. W następnych spektaklach jednak winna koniecznie zmienić nie twarową peruczkę i stracić opaleniznę, jakoś nie pasującą do księżniczki Artemizji. Drugą zakochaną parę kreowali z humorem i wdziękiem A. Jarysz i C. Pęgowski. Chyba nie trzeba rozводить się wiele nad talentami komycznymi „żelaznej gwardii” operetkowiczów: Z. Marińskiego (groźny kogut — general), M. Tomaszewskiej (żona — ksantypa) i J. Goferta („natchniony” aktorzyzna z prowincji). S. Renz poprowadził całociek spektaklu z właściwym swym batusie nerwem. W uzupełnieniu nadmieniam, że recenzja przedstawienia niedzielnego, czyli właściwie II obsady. Konkludując: dzięki „Wesołej wojnie” nasza znajomość z Imc Panem Janem Straussem całkiem nieoczekiwanie została pogłębiona. A wychodząc z teatru brzydko sklamaliśmy twierdząc, że jesteśmy zadowoleni. Pieczołowitość opracowania podnosi walory tej drugorzędnej operetki „króla walców”.

POLITYKA WSCHODNIA CDU/CSU

Pierwszy artykuł Edwarda Dylawerskiego na ten temat ukazał się na łamach „Kultury”. Artykuł nosi tytuł „La- ta wyboru (1945 — 1948)”. W redakcyjnym wstępie czytamy:

„Jak słusznie powiedziano: „Kwestia niemiecka — to kwestia polska”. Stąd znajomość polityki niemieckiej programowanej i realizowanej w NRF powinna wchodzić do podstawowego wyposażenia poznawczego każdego Polaka. Ze skutkami tej polityki na wszelkich polach życia międzynarodowego spotykamy się codziennie i z pewnością spotykać będziemy się nadal. Rozszerzanie umiejętności rozumienia i oceny jej niezmien- nych celów finalnych oraz zmiennych koncepcji strategicznych i posunięć tak- tycznych — oto poważne i trwałe zadanie stojące przed naszą publicystyką zagraniczną. To właśnie zadanie w odniesieniu do rządzącej w NRF partii CDU/CSU podejmuje w swym obszernym szkicu Edward Dylawerski”.

PILOTY W PIDŻAMACH

Garść refleksji na ten temat pisze w „Kulturze” Hamilton w swym cotygodniowym felietonie „Perswazje”. Mowa oczywiście o pilotach amerykańskich zestrzelonych nad Wietnamem demokratycznym. Na ich temat oglądaliśmy ostatnio kilkunastominowy film Heynowskiego i Scheumanna produkcji NRD.

„W niewoli człowiek przygasa, nawet gdy jest traktowany najlepiej. Ale może raczej: tym bardziej przygasa, im bardziej jest traktowany lepiej. Bo gdyby ich głodowano, torturowano, rozstrzelano, ich pobyt w obozie jenieckim byłby może straszniejszy, ale zyskiwałby jakieś racje ideowe, moralne, polityczne. Byłoby to argument za ich walką, za sensownością tej walki, za ich obecnością w Wietnamie. Byłaby to walka w imię wolności, przeciw zbrodniczej dyktaturze, przeciw tyranii. Uprzejmość międzyzbrodniej, zważywszy na to, że uprzejmość jest za- skoceniem absolutnym, bo przecież przygotowano ich na gehennę, tortury, śmierć, a nie na traktowanie dobre. Są speszzeni, bo aksjomaty, które wbiłoby im w mózg od lat, okazały się mgławicowe, kruche, z piasku. Jeśli nawet byli przekonani, że amerykański styl życia jest najlepszy, to przecież widzą, że na eksport do Azji nie nadaje się zupełnie, że tym Wietnamczykom w tym stylu byłoby do twarzy jak Murzynowi w futrach Eskimosów. Są istotnie w sytuacji trudnej ci ludzie tak bardzo cywilizowani i tak bardzo głupi, ci ludzie, którzy spadli tu tak dobrze wyekwipowani i tak skąpo zaopatrzeni w wyobraźnię. Toteż gdy oficerowi amerykańskiemu zaczyna pod kamerą drgać podbródek, tak jakby miał zamiar plakać, skłonni byłibyśmy mu nawet współczuć, gdyby nie to, że ludzie podziurawieni bombami kulowymi zasługują na współczucie większe”.

LEKTOR

Na lodowcach Islandii

Dokończenie ze str. 1

starczy powiedzieć, że trasę do naszej bazy, którą początkowo pokonywaliśmy w 3,5 godziny pod koniec przebywaliśmy w półtorej godziny. A z reguły nosiliśmy na niej 30-kilogramowe plecaki. Wszystko to przy bardzo nieunormowanym trybie życia, nieregulowanym rytmem dobowym. Był to przecież okres polarnego dnia, więc w nocy było jasno niemal jak w dzień. Pracowaliśmy więc jak pozwalały warunki pogodowe, do 18 godzin bez przerwy, wracając nieraz do namiotu i o trze- cie w nocy, albo znowu siedząc w namiocie przez kilka dni, gdy cały czas lało.

— Jakie są efekty wyprawy?

— Całość obserwacji będzie przed stawiona w postaci publikacji i w formie graficznej jako mapa geomorfologiczna. Będzie to pierwsza dla tego terenu tego rodzaju mapa — kartograficzna synteza naszych badań. W ogóle z rezultatów badań jesteśmy zadowoleni, uważamy że mamy bogaty plon. Pod względem naukowym to dalszy etap poznania środowiska geograficznego Islandii, w czym zainteresowane są oczywiście i władze tego kraju i tamtejsi naukowcy (a przecież nauka w tym 200-tysięcznym narodzie nie jest zbyt

silna). Mapa geomorfologiczna, która powstanie, będzie zaś miała także szerokie zastosowanie praktyczne.

— W jaki sposób korzysta się z takiej mapy? Czy w Polsce odniesiemy z niej korzyści?

— Oczywiście. Obserwacje procesów i rzeźby pozwalają porównywać, a więc i oceniać co dzieło się u nas, w Polsce północnej. Możemy więc z większym prawdopodobieństwem określać zespoły, formy, budowę naszych terenów. Jak się pozna prawa tworzenia można prawidłowo interpretować te formy, oceniać gdzie szukać różnych surowców jak żwirów, piasków i innych materiałów budowlanych. A mapy geomorfologiczne wykorzystuje także planowanie przestrzenne, pomaga ją też one w kartowaniu gleb (a każ dy kraj zmierza przecież do posiadania map glebowych, bo to pozwala oceniać potencjał produkcyjny rolnictwa). Choć niekiedy wyników takich badań nie można od razu zastosować w praktyce, to jednak znajomość środowiska geograficznego jest zawsze bardzo potrzebna we wszelkich dziedzinach praktycznego działania. Rezultaty naszych badań przydadzą się zarówno u nas, w Polsce, jak i w Islandii, gdzie — pragnę dodać — naszą wyprawę docenia- no najwyżej spośród wszystkich przebywających tam w tym roku ekspedycji.

Rozmawiał:

MIECZYSLAW SKAPSKI